

ROCZNIKI
TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NAUK
POZNAŃSKIEGO.

SEKCJA LEKARSKA.

TOME VIII.



POZNAN.

NAKŁADEM TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NAUK POZNAŃSKIEGO.

1874.

~~1424502~~

96358 I / 58



1940.9 537.

Czcionkami N. Kamieńskiego i Sp. w Poznaniu.

Z DZIEJÓW EPIDEMIJ W DAWNÉJ POLSCE.

NAPISAŁ

Dr. J. ZIELEWICZ.

Z dziejów epidemij w dawniej Polsce.

Napisał

Dr. J. Zielewicz.

(Rzecz czytana na publiczném posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego,
dnia 26 czerwca 1873).

~~~~~

Jeżeli tryumf pary, elektryczności i chemizmu za ostateczny i cel i rezultat wysileni ducha ludzkiego uważać będziemy, to słuszność przyznać musimy tym, którzy mówią, że żyjemy w czasach powszechnego postępu i cywilizacji niebywałej; a lubo o wyrazie „postęp,“ (ma się rozumieć przemysłowy), w objawach codziennego życia i w literaturze peryodycznej nie z taką już jak przed kilku jeszcze laty deklamujemy emfazą, widzimy za to, że społeczeństwo nasze — i tu idąc za nawoływaniem dzisiejszych haseł — coraz bardziej odczuwać zaczyna źródło owęj wielkiej świata potęgi, pragnie spojrzeć do jego głębi, i z promoteuszową hytrością wykradzioną iskrę ku własnemu, materyalnemu zużytkować celom.

Ztąd owo ostatnimi czasy powszechne prawie rozmiłowanie się w naukach przyrodniczych, i namiętne a jednostronne takowych popularyzowanie, jako téj gałęzi umiejętności, która do praktycznych — jak się to mówi — celów, najprędzej wiedzie. Z pewnem zastrzeżeniem nie mamy nic przeciw takiemu nauk przyrodniczych „kapitalizowaniu,“ boć, że każda ludzkiego ducha zdobycz na korzyść zdobywcy idzie, cóż w tém zdrożnego? Tak zawsze było i będzie.

Lecz i cudny kwiatek we łzach poranku skąpany, i śpiew słowika pieszczony, a rzewny, i kropla rosy falami światła drgająca: i to wyrazy tajemniczej księgi przyrody; a czyż dla tego, że skromne kwiecie jutro opadnie i wiatr je po świecie rozniesie, a śpiew miłości i poświęcenia nagłym hukiem stłumiony ucichnie bez echa, a łezkę niebieską pierwsze płomienie słońca wypiją, czyż dla tego przyroda kończy się tam, gdzie jej materyalny pożytek ustaje? . . . . Bynajmniej. Dla nas księga przyrody jest księgą mądrości bożej, i nie po to w niej się rozglądamy, by treść jej zmierzyć cyrklem, wagą i miarą, lecz by na dostępnych rozumowi i nauce drogach, śledzić tajemniczy świata porządek, zbliżyć się do jego

źródła i przedewszystkiem ten wszechmądrości zdobyć posterunek, który stoi na straży sztandaru z napisem: „Poznaj siebie samego.“

Bo człowiek, to najpiękniejsze wcielenie przyrody i najdoskonalszy jój warsztatu wyrób, a jako przystoi królowi i panu stworzenia, jest téż organicznie, najwyższym jego szczeblem. Jeżeli zaś człowiek, jako najwykończone dzieło, najdokładniejszą jest syntezą, to i cała umiejętność antropologiczna, mająca na celu poznanie człowieka, nie może być inną, tylko syntetyczną.

Trzy są bowiem sfery życia ludzkiego: „cielesna czyli zmysłowa, intelektualna czyli nmysłowa i duchowo-mistyczna, czyli życie wiary i natchnień,“ a obejmują one cały obszar życiowych objawów człowieka i tak są z sobą powiązane, że jedna bez drugiej ani osobnej całości tworzyć, ani bez szkody drugiej samodzielnie i wyłącznie uprawianą być nie może; ztąd téż nauka o człowieku stać powinna na stanowisku ani idealnym ani materyalnym, ale rzeczywistém, lndzkiem, jak to już pojmował nasz Jan Śniadecki, gdy mówi: „Poznania naszego cały zamiar powinien być ten, aby dochodzić rzeczy tak jak one są względem nas, nie zaś jak są w sobie i jakie ich niezawisłe od nas przyrodzenie, bo taka wiadomość jest dla człowieka niepodobna i na nie mu się nie przyda.“

Z tego jednak, że nauka o człowieku tylko na drodze doskonałej syntezy dać nam może dokładne o nim wyobrażenie, nie wynika, abyśmy powstawać mieli przeciw specjalizowaniu jój na najdrobniejsze działy, z których każdy osobną dla siebie stanowi naukę. Gorszył się tém już M. Mochnacki, gdy mówił: „Każdą rzecz radziłyśmy obrócić w umiejętność, z lada fraszki stworzyć naukę,“ a przed kilku miesiącami jedno z poważnych pism naszych beletrystycznych, ogłosiło piękną rozprawę, w której autor, rozbierając ten przedmiot, staje także na stanowisku czystej syntezy, przeciw czemu nic nie mamy, radziłyśmy jednak zauważyć, że aby nauka o człowieku dziś już dokładną, a ze wszechmiar piękną syntetyczną całość stanowić mogła, jeszcze czas nie po temu, bo dotąd praktykowany analityczny kierunek umiejętności antropologicznej — jakkolwiek myli się, jeżeli chce być dla siebie i celem i środkiem, tę atoli dla nauki o człowieku niezaprzeczoną przynosi korzyść, że do przyszłej syntezy niezbędne stanowi przygotowanie. Człowiek — jako się już wyżej rzekło — we wszystkich trzech kierunkach swego żywota powinien być przedmiotem naszych badań, i nie poznamy go, jeżeli specjalizując badania fizycznego i duchowego jego organizmu, badając oderwane części jego istoty, czynić to będziemy bez względu na całość, która dopiero daje życie i wciela się w czyn; lecz z drugiej strony pozwolimy sobie twierdzić, że, abyśmy w nauce o człowieku do dokładnej umiejętnej dojść mogli syntezy, potrzeba nam jeszcze pielegnować dzisiejszy kierunek analityczny, bo pojedyncze części w samych n. p. umiejętnościach mechaniczno-fizyologicznych organizmu ludzkiego, nie są dotychczas tak szczegółowo obrobione, aby z nich już dzisiaj absolutnie doskonałą syntetyczną całość umiejętną zbudować można. Nie „zbieraniną analitycznych wyników niczem z sobą

nie powiązanych“ chcemy mieć naukę o człowieku, lecz nie możemy odmówić umiejętności prawa specjalizowania się na najdrobniejsze gałęzie, bo tylko tędy wiedzie droga do prawdziwego „Panteonu“ naszej o człowieku wiedzy, tym tylko sposobem umożliwia się poznanie człowieka nie na drodze metafizycznych, a nikomu niezrozumiałych definicji i nieokreślonych dociekań, jak je złośliwie charakteryzuje Göthe mówiąc o mędrcach, którzy „bezprzestannie rozgryzują twardą brzoskwini pestkę, połykają jój skorupki, a z niemi i własne połamane, krwią ociekłe zęby“... , lecz na drodze ścisłych badań, kojarzących ducha z ciałem i korzystających syntetycznie z analitycznych rezultatów, przez specjalne umiejętności dostarczonych.

Że takie na naukę o człowieku zapatrywanie jedynie do celu prowadzi, chroniąc z jednej strony od bałwochwalstwa materji a siły, z drugiej gwarantując rozumowi słnszne jego prawa, świadczy, lubo słabe jeszcze podziśdzień, lecz przez grubą pomrokę jednostronności i zrozumienia już widniejące zaranie lepszej przyszłości dla badań specjalistów nad stósunkiem ducha do materji.

Po epoce materyalizmu z przed wielkiej rewolucji, zawiął z Niemiec duch filozoficznej spekulacji, o którym z Mefistofeilesem powiedzieć można, że:

„..... Grade wo Begriffe fehlen,

Da stellt das Wort zur rechten Zeit sich ein“;

więc téż nie dziwnego, że z mody wyszedł i nic po nim nie pozostało, krom chyba trochę idealniejszego niż dzisiaj na świat poglądu u tego Niemców pokolenia, która się na nim życia uczyło. . . . Najnowsze hasła polityczno-społeczne wytrysły znów z materyalnego pojmowania najwyższych życia zagadnień, w czém tegoczesna filozofia pozytywna prawie zupełną ducha negacyą, a wyłączną apoteozę materji, ściągnęła na się grzech pokuszenia, wywieszając na swój chorągwi godło: „Materja i siła“ — „walka o byt“.

Ale zbliża się czas, że wielcy myśliciele i sumienni badacze przyrody poczynają ukazywać światu prawdziwą wiedzy pochodnią, choćby tylko korném przyznaniem się do niemożności rozwiązania tych wielkich zagadnień, których posiadanie pyszałkowaty dyletantyzm naukowy już sobie chciał mieć zapewnione. Znany K. Vogt zgłodziłéj pozytywizmu rzeszy już był ogłosił najwyższy trynmf nauki, że wszelkie władze dnszy są wyrobem materji, tak jak wszelkie wydzieliny organizmu zwierzęcego. Tymczasem oto dwaj najkompetentniejsi w tym przedmiocie badacze ostatniemi czasy zadają kłam przedwczesnej pohopności niemieckiego doktrynera. Fizyolog francuzki Kl. Bernard wyrzekł niedawno te donośne słowa: „Oburza nas nawet myśl sama, ażeby materja martwa mogła być obdarzoną władzami myśli i czucia. . . . Błądziłby, ktoby mniemał, że nauka prowadzi do przypnszczenia, że materja wyradza zjawiska.“ A przed rokiem dopiero pierwszy w swym zawodzie specjalista, Niemiec du Bois-Reymond w obec zgromadzonych lekarzy i przyrodników całych Niemiec nie wahał się przyznać, że ani funkcyj duchowych z materyalnych warunków poznać,

ani tychże funkeyj za rezultat działania materji przyjąć nie możemy, a orzeczenie swoje zamknął uroczystem „Ignoramus et Ignorabimus!“

Jest to sąd najkompetentniejszy — bo jeżeli kto, to lekarz patrzy na ciągłą styczność ducha z materją: we śnie i w marzeniu, w omdleniu, gorączce i sztucznem odurzeniu i w tysiącznych innych stanach chorobowych patrzy na ciągłą zależność ducha od trwałego lub chorobowego stanu materji; lecz mimo to, gdy chodzi o stanowcze orzeczenie ostatecznych wniosków co do wzajemnego do siebie tych dwóch potęg stosunku, jeżeli nie chce ludzi sam siebie i drugih — i dziś mimo piętrzącego się materiału experimentalnego i nagromadzonych już przezeń ważnych wskazówek, powiedzieć sobie musi, że: „w naukach fizycznych możemy poznawać tylko same skutki i fenomeny: pierwsza i najodleglejsza przyczyna tych fenomenów jest niedostępną dla zmysłów. Gdzie się kończy pasmo fenomenów fizycznych, zaczyna się łańcuch prawd moralnych!“

Oto stanowisko, które dla nauki o człowieku naznaczył uczony polski już przed wielu laty — dziś znalazło ono uznanie na drodze najnowszych doświadczeń i po wyczerpieniu wszelkich dostępnych środków umiejętności — a to uznanie pewnej granicy w badaniach życiowych jest zapowiedzią upadku jednostronnego materialnego kierunku, jaki się rozwinął pod dewizą: „siła i materja“. Nad tą przyszłościową epoką badań istoty człowieka zaświeci niebawem gwiazda nowej nadziei dla ludów, które wierzą, że na dnie bałwochwalczej materji a siły drgać musi wyższej potęgi pierwiastek — duch — słowo, bez którego społeczeństwa to „szkieletów ludy,“ a świat lichą lepianką, o której mówi poeta, że od duchowej iskry spłonie „jak suchego siana stóg“...

Powyższych kilka uwag nasunęło nam się ze względu na stósunek, jaki zachodzi między umiejętnością a życiem z jednej strony — z drugiej zaś ze względu na stósunek, w jakim stoją dzieje chorób zaraźliwych do antropologii w ogóle. Jeżeli gdzie, to w historii chorób zaraźliwych występuje człowiek takim, jakim jest w owiej istocie, nie jakim go chce mieć doktryna. Człowiek fizyczny, przyroda ze wszystkimi swemi tajnikami, a bodaj i nie duchowa strona ludzkości, owa psyche narodów, łączą się tutaj w jeden obraz, który ani z czysto materialnego ani z wyłącznie idealnego, lecz z ludzkiego stanowiska musi być oceniany; inaczej dzieje chorób zaraźliwych przestaną być tém, czém być powinny, tj. ogniwem w łańcuchu dziejów powszechnych, przyczynkiem do historii cywilizacji narodów. A lekarz historyk, z tego stanowiska zapatrujący się na dzieje epidemij będzie pobłażliwym w sądzeniu epoki, bo nie sama empirya lekarska, lub transscendentalizm filozoficzny, lecz czysta synteza antropologiczna stanie mu za przewodniczkę. Z tą myślą przystępujemy do rzeczy.

---

Choroby epidemiczne były plagą społeczeństwa średniowiecznego. W obec niesłychanej śmiertelności, jaką się tamtoczesne odznaczają epidemie



i braku skutecznych środków zaradczych przeciw srożącemu się nieszczęściu, upadał rycerski duch narodów w chwilach, gdzie się nieraz zdawało, jakoby opatrność postanowiła wytępić żyjące pokolenie, by na jego ruinie nowo wyrosłe do nowych powołać przeznaczeń. Prywatne i publiczne stósunki rwią się wśród ogólnego popłochu, bo nieustraszeni nawet popadają w rozpacz w obec nieszczęścia, które wszelkiej pomocy ludzkiej nrągać się zdaje. Anioł śmierci w głębokie mogiły spycha swe ofiary — a gdy ich ziemia w swém łonie pomieścić nie może — wodne odchłanianie grobami się stają...

W tym smutnym dramacie i Polska niepoślednią odegrała rolę i krwawe jój dzieje, nieczem pisane, powleka czarny całun żałoby po mnóstwie ofiar, morderczą zarazą z jój łona wyrwanych.

Żadna atoli z epidemij średniowiecznych nie miała swego źródła w Polsce, nie o każdej wprawdzie wiemy, z kąd się do nas dostała, lecz to pewna, że wszystkie były importowane. Nie brakło téż średniowiecznej Polsce rozlicznych węzłów, które łącząc ją z ówczesnym światem, dawały sposobność do zetknięcia się z zarazą, za granicami kraju powstałą. Przedewszystkiem policzyć tu należy polski handel i przemysł, który za przyłączeniem Litwy i Rusi w państwie na szerszą skalę, bo dla szerszych potrzeb się rozwinał, opieka jakiej od Jagiellonów doznawał, widoki, jakie się otwierały kupiectwu zachodniemu przez bezpośrednie z Polską stosunki, i odwrotnie, wejście w stosunki handlowe z Pomorzem i Prusami od r. 1424 zastrzeżone przymierzem. Szczególniej kupcy krakowscy umieli sobie w ciągu 14go wieku ułatwić drogi handlowe nie tylko z sąsiednimi krajami, ale nawet z odległym wschodem, zwabieni nadzieją łatwego nabywania bogatych jego zasobów (Szujski). Trzech zaś głównych kierunków zagranicznych — według Szajnochy — trzymał się handel polski średniowieczny: mianowicie w stronę bałtycką, ruską i szlaską. Ku Bałtykowi główny kierunek nadaje Wisła. Jeszcze w XVI. wieku, mimo poczynającego się już wówczas upadku handlu polskiego, miała rodzina krakowskich Fuggerów po 68 okrętów nad brzegami morza bałtyckiego. Również żywy ruch handlowy panował ze wschodem — z Rusią. W tym kierunku jedna droga handlowa szła od Poznania ku Wołyniowi, druga od Krakowa ku morzu Czarnemu. Był to główny szlak handlu przewozowego cudzoziemskiego, osobliwie hansy niemieckiej. Szczególniej zaś trakt tatarski, idący przez Ruś, Multany i Wołoszczyznę, prowadzący ostatecznie do Carogrodu i morza Czarnego, łączący Polskę pośrednio z Indyami, Chinami i Małą Azją, był dla naszych kupców bardzo pożądanym. Ze wschodu téż przybywały do nas najczęściej epidemie średnich wieków, jeżeli nie były w znacznej części importowane przez niemieckie mieszczaństwo naszych stolic, zostające w ciągłych stóśunkach handlowych i towarzyskich z pierwotną ojczyzną swoją.

Gdy się tak Polska czynnym udziałem w rozwoju duchowym ludów swój ówczesnej wielkości troskliwie dorabiała, ściągając na siebie z jednej strony korzyści, z drugiej nieszczęścia i klęski, przyczyniały się do rozwoju takowych niekorzystne fizyczne stosunki, wśród których żył naród. Prze-

dewszystkiem należy tu uwzględnić postać topograficzną kraju w owych czasach. Małopolska wyższa i górzysta szumiała nieprzebytymi lasy, niższa i jeziorzysta Wielkopolska tonęła w wodach. Cała ziemia pomorsko-pruska była zalana wodą. Mnóstwo jezior co do swój rozległości z dzisiejszemi nie mogących iść w porównanie, nadawało topograficznemu stanowi postać błotnistą. „Bagniste okolice podoba sobie mieszkanię słowiański“ mówi Szajnocha -- lecz nie podlega wątpliwości, iż jak się spokojnym i bezpiecznym czuł w swém schronieniu za dobrych czasów, tak z drugiej strony zakaźne wyziewy bagien, wilgotna atmosfera otaczającego nieba, były dla tamtoczesnej ludności nadzwyczaj zabójczemi w czasach wielkich epidemij.

Niezaprzeczony czynnik w dziejach epidemij w Polsce stanowią także głody, naszą bogatą ziemię z powodu napadów tatarskich i równie niebezpiecznego wroga — szarańczy — w średnich wiekach tak często nawiedzające. Szarańcza zjawiwszy się w Polsce z Węgier i Morawy, gęstością rojów swoich zasłaniała słońce, jakoby obłok, a gdzie usiadła, zajmowała przestrzeń trzech mil w zdłuż a półtoręj w szerz. To też u kronikarzy naszych głód i mór idzie zawsze w parze. Roku 1282 i 83 panowało morowe powietrze i tak wielki głód, że matki swe własne dzieci zjadały, „mieszkańcy od Rusinów i Węgier uciekali, lecz jak mówi Długosz, Bielski i Miechowita zamiast posilenia, barbażyńskim narodom zostali sprzedani. Nie brak podań kronikarskich według których w miejsce pożywienia lud najrozmaitszych używał surrogatów chleba: wyrabiano go np. z liści tartych i jemiół. W r. 1319 głód, przez kilka lat poprzednich trwający, do tego doszedł stopnia, że zabijano najbliższych członków rodziny celem nakarmienia się ich ciałami.

Jako moment aetiologiczny w rozszerzaniu się chorób epidemicznych uwzględnić także należy często, nietylko w Polsce, ale i w innych krajach Europy owemi czasy pojawiające się nieprzyjemne zjawiska przyrody. Należą tu częste długotrwałe ulewy i powodzie. W r. 1475 powódź była tak wielka, że w Krakowie w kościele XX. Bernardynów na ołtarzach stała woda; w latach 1593 i 97 znów powódzie, z których pierwsza dotarła do bramy grodzkiej, druga do wzmiankowanego kościoła, i szkodę wielką poczyniła tak w ludziach którzy tonęli, jako we zbożu — i drogi chleb ztąd był — mówi kronika Zellnera. Nadzwyczaj ostre i długotrwałe zimy, wielkie śniegi, skutkiem których marniały stada, szybkie przejścia od nlew do nadzwyczajnych suszy. Z 70 tysięcy Turków, którzy 1498 na Ruś wtargnęli, skutkiem wielkich mrozów i śniegów miało zginąć około 40,000. Paprocki, Sarnecki i inni kronikarze mówią, że Turcy „chroniąc się od przeraźliwego zimna, wypuściwszy wnętrzności koniom, włązili w ich brzuchy; lecz ciepło nie trwało długo, znajdowano zmarzniętych wraz z temi bydłety.“

Tureckie i tatarskie napady, — od czasów Bolesława Wstydlwego tak często Polskę nawiedzające, — pustoszyły kraj ogniem i nieczem; nadto przynosiła orda do nas choroby z pod południowego i wschodniego nieba.

Oto według dzisiejszych pojęć, bardzo jeszcze zresztą dalekich od absolutnej pewności, jedyne możliwe aetiologiczne czynniki, działające przy rozpościeraniu się u nas chorób epidemicznych w średnich wiekach. Na próżnobyśmy szukali jakiegokolwiek pod tym względem wyjaśnienia u kronikarzy, którzy o tych wspominają zdarzeniach. Podają oni czas trwania zarazy, dokładniejsi nawet wymieniają liczbę ofiar; lekarze zaś owych czasów upatrują przyczynę w gniewie bożym, w nieprzyjaznych konstellacjach gwiazd, trzęsieniu ziemi, meteorach itp. fizycznych zjawiskach, w mniemanym związku z zarazą będących. Podania te na szali dzisiejszych naszych pojęć naukowych zważone, uważane być muszą za wyraz ducha czasu, w którym powstały. Ale nie wolno nam okrywać ich śmiesznością, jak się to zbyt często dzieje, bo i nam dzisiaj — po tylu wiekach doświadczeń — wiadomość nasza w tym względzie nie starczy, a wielka księga przyrody jak była tak i jest podziśdzień księgą, w której się dopiero czytać uczymy.

„Średnie wieki, jako pora młodszej nieudoskonalonej organizacji społecznej, przedstawiają osobliwe widowisko najwszechstronniejszych przeciwieństw i sprzeczności.“ Przytaczając powyższe zdanie jednego z historyków, nie powołujemy się na nie dla tego, iżbyśmy organizację społeczeństwa dzisiejszego w porównaniu ze średniowiecznym mieli uważać za ideał doskonałości, lecz raczej dla tego, że zastanawiając się nad skutkami częstych epidemij w Polsce średniowiecznej, drugiej części powyższego twierdzenia zupełną słuszność przyznać musimy. Nie podlega wątpliwości, że nieprawidłowy nastrój duchowy skutkiem ciągłej o życie obawy, wywoływał z jednej strony rozpustę posuniętą do wysokiego stopnia we wszystkich stanach, z drugiej strony ascetyzm pokutniczy, do fanatyzmu posunięty. Zasługuje tu na uwagę okoliczność, że właśnie w tej epoce (w końcu XV wieku) podczas moru nastąpiła do Polski gorzałka, w miejsce dawniej u niższych klas wyłącznie będącego w użyciu piwa świdnickiego (Sznjski).

Ówczesne pojęcia o przyczynach epidemij rozumieją je jako karę bożą; ztąd już w r. 1260 widzimy włoskiego pustelnika Rainero na czele tłumu, przebiegającego wsie i miasta z głośnem wzywaniem do pokuty. W rok potem pod nazwą biczowników zjawiają się w Polsce. Janusz arcybiskup i Prandota krakowski wypędzają ich z kraju. Nadchodzi okropny dla Polski i całego świata ówczesnego rok 1349: na poły nadzy, z czerwonym krzyżem na plecach i zasłoniętą twarzą, snują się znów biczownicy po opustoszałych Polski dziedzinach, krew tryska pod razami chłost, które sobie nawzajem zadają, ich przybycie ogłasza uroczysty odgłos dzwonów i modlitwa przeciw morowej zarazie. Bezwstyd, gwałty i napaści nie mogły się ukryć pod pokutniczymi wory, a próżniactwo roboczej klasy ludzi zagroziło krajowi powszechną klęską. Klątwa z Watykanu, i za nią idące prześladowanie. rozprasza wreszcie tę sektę, której dzieje wymownym są dowodem, jak głęboko wstrząsły duchem tamtoczesnego społeczeństwa klęski, wywołane zarazą jedną z najzjadliwszych.

Drugi epizod w tej smutnej opowieści stanowi prześladowanie Żydów. Do jakiego stopnia dochodziło w Europie ówczesnej ciemieństwo tego ludu,

niechaj za słabą ilustracją tego dziejowego faktu posłuży okoliczność, że w r. 1298 zamordowano w Norymberdze 100 tysięcy Żydów — w Bazylei spalono żywcem wszystkich izraelskich mieszkańców w osobno na ten cel zbudowanej szopie — ba nawet sam Cesarz Karol IV wydał Żydów miasta Worms obywatelom na pastwę — a tłumy do jednego wymordowawszy nieszczęśliwych, dzieliły się ich własnością. W Moguncyi 12 tysięcy zrozpaczonego żydostwa we własnych domach ginie.

W obec groźnego widoku okrucieństw gdzieindziej na Żydach popełnianych, dzieje nasze pod koniec czasów piastowskich a początek jagiellońskich jaśnieją dziwną pogodą tolerancyi prawnej względem napływowego pierwiastku żydowskiego. Trudno uwierzyć, aby już w owym czasie, kiedy Kaźmierz W. prześladowanym zewsząd Żydom co dopiero gościnne Polski otworzył bramy, srogość, której doznawali, i w Polsce spotykać ich miała. A jednak Długosz przy opisie zarazy r. 1349 i 1360 powiada, „że ponieważ niektórzy sądzili, że powstawała z przyczyny Żydów, truciznami powietrze zaprawiających, przeto tychże w bardzo wielu miejscach wymordowano, spalono, wieszano; inni uszedłszy rąk chrześcijańskich, siebie, żony, synów, córki i krewnych zabijali — wyjawszy małą liczbę okolic i krajów, które pieniędzmi przekupione, folgowały im.“ Faktem jest, że mimo wszelkich praw pisanych i edyktów królewskich — w Krakowie przynajmniej, owę metropoli polskiego żydostwa, prześladowano Żydów. Oczywiście rej wodziła w tem młodzież akademicka, jak tego dowód mamy z kilku procesów, przed sąd rektorski wytoczonych; brało chętny udział pospółstwo, które do tego rodzaju spraw nie potrzebuje rozkazu, ni przygotowania. Działo się to szczególnie w w. XVI. który wprowadzie inne jeszcze ze sobą przyniósł warunki, od których poszło prześladowanie wszystkich innowierców; zważywszy atoli, że właśnie na wiek XVI. przypada niezwykła ilość epidemij, nie wachamy się twierdzić, że ta okoliczność stała się jednym z najważniejszych powodów prześladowania Żydów w Polsce. Znała tolerancją z politycznych względów konstytucya polska, przestrzegali jej też królowie aż do Zygmunta III, ale roznamiętnionemu pospółstwu i szkolnej młodzieży wystarczał do nagabywania Żydów podszept, że to oni powietrze zabójczemi napełniają wyziewami, oni zatruwają studnie po siolach i miastach, że oni to, na życie chrześcian nastając, sami znanemi sobie czarami od śmierci ratować się umieją.

Że lud ten z wrodzonej sobie przenikliwości i troskliwości w pielęgnowaniu zdrowia mógł mieć i wówczas jakieś korzyści przed chrześcianami, można przypuścić. Wiadomo obok tego, że Żydzi polscy posiadali już bardzo dawno biegłych w swęj sztuce lekarzy, ściągających nawet na siebie zazdrość chrześcijańskich kolegów swoich.

Obok Żydów widzimy Niemców, nęconych do Polski widokami najobszerniejszych swobód publicznych. Nie same to napady tatarskie, które wyludniwszy wsie i miasta, nagliły potrzebą nowych osadników: epidemie średnich wieków, dziesiątkujące ludność, stanowią bez wątpienia

jedną z głównych przyczyn, dla których rządy Rzplitej kolonizacją kraju w tak gorliwą brały opiekę. Od połowy XIII. w. poczynają się coraz liczniejsze nadania prawa magdeburskiego. Bolesław Wstydlivy uwalnia Kraków na 6 lat od wszelkich ciężarów i danin dla znużenia do stolicy nowych osadników, których wyludniony przez tatarskie jassyry i morowe kłęski Kraków naówczas potrzebował.

Obejrzawszy się w warunkach, wśród jakich choroby epidemiczne w Polsce powstawały i jakie za sobą pociągały skutki, rzucmy okiem na pragmatyczne dzieje tych epidemij, o ile szczupły zapas odnośnego materiału dziejowo-lekarskiego ku temu posłuży.

Że Polska od niepamiętnych czasów nawiedzana była różnego rodzaju nieznanymi podziśdzeń epidemiami, świadczą o tém mityczne postacie bogów, jako: Trzybek, Zaraza, Pomorek. Nazwiska same tych bóstw wskazują, że słowiańscy przodkowie nasi przypisywali im władzę nad zaraźliwymi chorobami. Czyby zaś przez trzy powyższe. nazwy jedno rozumiano bóstwo, o tém nasi kronikarze i historycy żadnej nie czynią wzmianki. Wspomina też Naruszewicz o czci oddawanéj bogini Dziewannie w téj intencji, jakoby wieś lub miasto, uświęcone jéj posągami, miało być wolne od pomoru.

Tyle co do mitycznych podań czasów przedhistorycznych. Jak atoli szczupłym jest zapas wiadomości o owéj epoce dziejów naszych w ogóle, tak i w przedmiocie epidemij, w późniejszych czasach tak często Polskę nawiedzających, żadnych nam historia nie zostawiła śladów. Później atoli, mianowicie od X. a początku XI. wieku prawie na każdej karcie dziejów Polski spotykamy świadectwa nieszczęść, zlewających się na kraj nieustannym prądem chorób epidemicznych. A tak od końca X. do końca XIII. wieku wytrzymała Polska 25 morów, w przecięciu więc wypada na 12 lat jeden. Stósunek ten rośnie w w. XIV., tu już na 6 lat jedna kłeska. W w. XV. liczymy 23 epidemie, więc co 4 lata jedna. Wiek XVI ma ich 36.

Przyznać należy, że obliczenie powyższe pod pewnym względem nie zupełnie jest ściśle — a powyższa statystyka straci na swój jednostronności, gdy dodamy, że opierając się na podaniach kronikarzy, nie zaś lekarzy, przyjąć trzeba, że nie wszystko, co wówczas „zarazą“ zwano, było epidemią w ścisłym tego słowa znaczeniu, łatwo bowiem choroby zwyczajne, a w niektórych Polski okolicach skutkiem powyżéj skreślonych stósunków topograficznych zjadliwie występujące, za zarazę uważane były.

Przypuszczenie powyższe tém łatwiej da się usprawiedliwić, ile że o istocie chorób epidemicznych aż do końca XIII. w. mało, lub zgoła nic nie wiemy. Dopiero wiek XIV. rzuca obfite światło w ten pomrok dziejowo-lekarski ową straszną kłeskę, która zdziesiątkowała Europę: jestto „czarna zaraza“, w dziejach wszystkich narodów krwawemi zapisana głoskami, a Polskę zamieniająca w wielki cmentarz.

Ówczalni pisarze nazywają ją wyrazami, jakich używano do oznaczenia, każdej wielkiej epidemii: pestis pestilentia, mortalitus, epidemia. We Francyi najprzód spotykamy się z nazwą „czarna zaraza“ (peste noire)

a u Cowina choroba ta pomiędzy innemi nosi nazwę „mors nigra.“ Pod temi też nazwiskami znane jest naszym kronikarzom, a pisarze po polsku piszący, zowią ją przymorkiem, morem, czarną zarazą, czarną śmiercią, morowem powietrzem, lub w ogóle powietrzem.

Początki czarnej zarazy odnosi podanie w odległy wschód Azji, gdzie pod panowaniem cesarza Chun-Ti 13 milionów ludzi śmierć znaleźć miało. Dalszy pochodź czarnej zarazy po za Europą nieznany. Ale nawet u europejskich pisarzy mało pod tym względem znajdujemy pewnych danych. Ze zestawienia jednak tych szczupłych wiadomości wynika, że pierwszych jej ciosów w Europie doznała Sycylia, Grecya, Sardynia i Korsyka. Ztamtąd w r. 1348 przechodzi do Włoch, Hiszpanii i Francyi a w następny do Niemiec, Anglii i Hollandyi. Z południa i północy oba pochody schodzą się w północnych Niemczech, gdy równocześnie we wschodnim kierunku Węgry, Czechy, Polska i Rossya ulegają zapowietrzeniu.

Zniszczenia przez czarną śmierć wyrządzone są bezprzykładne w dziejach epidemij: niektóre okolice straciły trzecią część, połowę, a nawet i więcej swojej ludności. Pominąwszy inne części świata, gdzie ówczesna statystyka śmiertelności podaje liczby prawie nie do uwierzenia; z krajów europejskich „czarna zaraza“ najbardziej srożyła się we Włoszech, które połowę swęj ludności stracić miały, w Padwie samęj wymarło  $\frac{2}{3}$  mieszkańców. Hiszpania zamienia się w pustynię — we Francyi mniejsze osady całkiem wymierają. W strasznym obrazie malują Avignon; na groby zabrakło tam ziemi — a mnogie ofiary śmierci pochłania Rodan, ręką ówczesnego papieża (Klemensa VI) na ten cel nroczyście poświęcony. Zatrważający obraz wyludnienia żywemi barwami maluje Petrarka w swych listach.

Objawy, towarzyszące czarnej zarazie, występowały zaraz z początku gwałtowną gorączką, zajęciem głowy, odurzeniem i bezprzytomnością. Język i podniebienie były spalone i czarne, wydzieliny cuchnące. W wielu wypadkach przychodziło gwałtowne zapalenie płuc i śmiertelne krwiotoki, a w ślad za niemi obejmowała całe ciało zgorzelina, występująca w postaci czarnych plam. Wielu chorych umierało tego samego dnia, niektórzy w tęg samęj godzinie, w której zachorowali. Leki żadne nie pomagały a jedynym ratunkiem dla nieszczęśliwych były pociechy religijne, dodające im odwagi w oczekiwaniu niechybnej śmierci.

Szczupły tylko posiadamy zapas wiadomości w tym przedmiocie co się tyczy Polski. Kroniki opisują, że Toruń utracił 4621, Elbląg 7092, a Gdańsk 17,665 mieszkańców. Nie wiadomo zaś z pewnością, w którym roku poraz pierwszy zawisła nad Polską czerwona chusta morowęj dziewicy. Z nowszych pisarzy Gąsiorowski, idąc za Długoszem, przyjmuje rok 1348, Lernał za Bielskim 1349. Odtąd czarna zaraza panowała u nas nieprzerwanie z mniejszą stósunkowo śmiertelnością, aż wreszcie w r. 1360 tak gwałtownie wystąpiła, że sam Kraków według Długosza i Bielskiego stracił 20 tysięcy mieszkańców, profesorowie wraz z uczniami

akademii wynieśli się z miasta, a kraj pustką stanął, bo połowa ludności padła ofiarą zarazy, reszta zaś, ze strachu opuszczając miasta i wsie, po lasach i pustkowiach szukała schronienia.

Z naszych kronikarzy jedyny Długosz o „czarnej zarazie“ nieco dokładniejsze pod względem lekarskim podaje wiadomości. Atoli historyk nasz ściągnął na siebie w tym miejscu zarzut plagiatu tak, że porównawszy słowa jego z oryginałem, z którego czerpał, wyznać należy, że ani o istocie choroby, ani o czasie, w którym się u nas zjawiała, nie możemy dokładnego powziąć wyobrażenia. (Zob. „Skąd Długosz czerpał wiadomość o „czarnej zarazie r. 1348 i 1360“ p. Dra Zielewicz Przeg. lek. 1872 Nr. 43 i 45).

Z téj tedy przyczyny łatwiej skłonić się można do zdania Bielskiego, że czarna zaraza dopiero 1349 r. do nas przyszła. Nie wiadomo też z kąd się do nas dostała. Lerna utrzymuje, że z Węgier, Grabowski, że z Węgier i Czech; pytania, które i w historii nowszych epidemij nie zawsze dadzą się rozstrzygnąć; wszakże to pewna, że niepowstrzymanemu pochodowi téj strasznej w dziejach świata epidemii wszystkie drogi do Polski stały otworem. Wojny postronne, napady Tatarów i Turków, wreszcie handel z całą Europą: okoliczności powyżej już rozebrane, a które nie mogły i w tym razie utrzymać na uboczu ówczesnej Polski, zwawo tętniącej objawami wszechstronnego życia. Te same téż stósunki sprawiły, że gdy czarna zaraza w innych krajach Europy z wolna łagodnieć poczęła — u nas trwanie jéj daleko było dłuższe. Wprawdzie ku końcu XV. wieku (1493?) zawitał i do nas nowy gość z zachodu w postaci kiły, w XVI zaś wieku rozeszła się z Anglii po całej Europie i do nas się dostała choroba „angielskim potem“ zwana, lecz epidemie te zastały jeszcze w Polsce czarną zarazę, srożącą się po dawnemu, kiła złączyła się z nią w objawach swoich w jedną całość — i dla tego długo obie te choroby pod jednym u nas przychodzą nazwiskiem.

Zwłaszcza w wieku XVI. stósunek ilościowy przypadających nań morów znacznie się powiększa gdyż, na niecałe 3 lata przypada jedna epidemia. Tak było wówczas w całej Europie; zabójczych epidemij liczba była większa, niż kiedykolwiek w wiekach poprzednich, może dla tego, że i lekarze, idąc za duchem czasu uważniej choroby śledzili, lub że z użycia wyrazu „mór“ — pestis — kronikarze nie wiele sobie robili skrupulów. Jakkolwiekby, Polska wieku XVI, otwarta napływowi ludzi z wszystkich stron Europy, schronienia tutaj szukających, nie przestaje być widownią srożących się żywiołów zakorzenionej w narodzie zarazy. Dla tego to nieraz królowie zmuszeni opuszczać stolicę, sejmy się rozchodzą, lub wcale nie bywają zwoływane.

Uprzypomniwszy sobie, jak tłumnemi bywały niegdyś nasze sejmy, możnaby przypuścić, że systowanie ich uważaniem było jako środek policyjno-lekarski przeciw roznoszeniu i szerzeniu się epidemij. Prawodawstwo sanitarne polskie, czasu pomorów, nie jest mi znane, ale historia prawodawstwa sanitarnego w ogóle jest bardzo szczupła

i dopiero najnowszej daty, czemu się wcale dziwić nie należy, bo wielkie reformy społeczne na każdym polu długich potrzebują przygotowań i powoli postępują. Piecza zaś nad zdrowiem powszechnym mieszkańców, jest rzeczą rządów, a ulepszenia prawodawcze, ze strony rządów przedsiębrane, nie były i nie są nigdy przyczyną, lecz zawsze dopiero skutkiem powszechnego postępu społecznego. Poznać zaś najwyższe nauk lekarskich zadanie, zadanie społeczne, nie było rzeczą ani społeczeństw, ani rządów średniowiecznych, bo i dziś jeszcze mimo wszelkich przechrzątek cywilizacyjnych naszego stulecia, panuje w sferach rządzących dziwna pod tym względem pomroka umysłów.

Nie można powiedzieć, aby w średnich wiekach o władzach policyjno-lekarskich nic nie wiadano. Owszem — o ile ówczesne pojęcia o naturze morów na to pozwalały — czyniono, co było można. W Wenecyi już w r. 1348 widzimy trzech *Proveditori di sanità*. Zupełnie podobną instytucją znajdujemy w Polsce za Zygmunta III. Znany jest dokument w którym król mianuje Wacława Drożyńskiego w miejsce Jana Zamojskiego, zalecając mu „aby za tem uspokojeniem Krakowa od powietrza w temże mieście naszym takowy dozór i w ludzich i w samych urządziech czynił, jakoby przez nieostrożność i niedbalstwo w tej mierze przyczyna się jaka do ponowienia, strzeż Boże, powietrza nie dała“. . . . Mamy tu już władzę policyjno-lekarską, urzędującą stale na podobieństwo dzisiejszych komisyj sanitarnych. Obok władz czysto rządowych występują w późniejszych czasach władze municypalne i duchowne, a wreszcie ogół obywatelstwa jako ważne czynniki w obmyślanu środków przeciwmorowych. Wszak i dziś na wiele więcej się nie zdobywamy.

Apteki były w Polsce już w pierwszej połowie XIV w. — a w XV w. liczba ich musiała być dość znaczna — przynajmniej w Krakowie — bo kiedy w r. 1564 w kwartale zamkowym jeden tylko zamieszkiwał lekarz, 7miu znajduje się tam aptekarzy. Coroczne zaś rewizye aptek znano w Polsce już za Zygm. I (1506—1548) — więc o braku lekarskiej pomocy w czasach epidemij mowy być nie może. Publicznych zaś zakładów leczniczych może nigdzie dobroczynność prywatna tyle nie fundowała co w Polsce. Każde miasto miało swoje szpitale, które szczególnie w czasie epidemij magistraty troskliwą otaczały opieką. Szczególniej magistrat krakowski niepoślednią z czasem rozwinął energią w poskramianiu zarazy. Zapowietrzonych odosobniano, wyprowadzając ich za miasto i tam w osobnych szopach — jakoby w dzisiejszych szpitalach barakowych kosztem publicznym żywiono i obsługiwano. \*) Urzędowe zamykanie, czyli jak mówiono „zabijanie“

---

\*) Klasztor Panien Karmelitanek Bosych w Poznaniu posiada kronikę rzucającą niejaki światło na miejscowe stosunki w czasie epidemii r. 1709. Gdy mimo ograniczenia stosunków klasztoru z światem zewnętrznym od minimum †) zaraza dyć osoby

---

†) Astruc swego czasu francuzkie zakony żeńskie kazał brać za wzór odgradzani się od gniazd zakaźnych. (Astruc: *Sur l'origine des meladies epidemiques, principalement de la peste* Montpell. 1721. *Dissert. sur la peste de Provence* Montpell. 1722. K. Sprengel Bd. V p. 481).



domów było ściśle przestrzegane i z pod tego prawa, w ówczesnych nawet stósunkach społecznych, nikt się nie mógł wyłamać. Pod surową karą zabraniano roznoszenia i sprzedawania rzeczy po ludziach zapowietrzonych. Rzeczy takie — a zdaje się nawet że i domy niektóre, jako gniazda infekcyjne, spalono. Publiczną służbę zdrowia składali grabarze, którzy obok chowania zmarłych i urzędowego doglądania zapowietrzonych domów, mieli obowiązek zbierania ubogich chorych, którzy się zagrzebywali w nawóz bydłocy — i tam zwykle umierali. Pośmiertne oględziny ciał ściśle były praktykowane. Zapowietrzonych nie wolno było chować na cmentarzach kościelnych, a tem mniej w kościołach.

zabrała, siostry zakonne opuszczają Poznań i udają się na prowincję w dzisiejszy powiat wągrowiecki, gdzie u krewnych gościnne znajdują przyjęcie. Odnosny ustęp kroniki tak opiewa:

„Po śmierci ty najmilszy siostry wszystkieśmy zostały bardzo potrwożone. Zaraz nazajutrz 1. dnia Augusta, dla rozczwania z powietrza wysłała przełożona W. Matka Barbara Tercsa od Zwiastowania Naświętszy Panny W. Matkę Agniskę Fondatorkę naszą y z nią siostr (liezba nie wpisana), bo dla powozu że go nie było, nie mogliśmy wszystkie razem iechać do Węgorzewa do Rodzonj Nieboszki Siostry Felicanny, a Rodzicielki Siostry naszej Anny a pucro Jezu. Tu Jcymosć Pani Radzikowska: lubo żalośna była z pozbycia Siostry, przyjęła nas z wielką miłością, ale do stodoł swoich: Maiąc nas zarażonych, podejmowała we wszystkim, dywertując nas jako mogła. A tem czasem dała Matka nasza znać o tém Jego Mość Panu Skoraszewskiemu, Chorążycowi Poznańskiemu Rodzonemu Matki Naszy Podprzeoręsy Matki Teresy. On jako Pobożny i Miłujący Rodzoną swoje a zatem i Nasz kiasztor z wielką radością zesłał po nas karety y ustąpił całego Dworu Łopieńskiego, prosząc aby jako we własnym domu mieszkać i przykazawał Podstarościm aby ze wszelką usilnością dogadzali, czegobykolwiek potrzebowaliśmy... A mieszkając tam niedoszło tygodnia, umarła trzecia“ (str. 138).

Tak więc i w Łopieńskim dworze nie było lępiej. Celem odosobnienia chorych wybudowano w ogrodzie baraki czyli poprostu szopy i tam umieszczano chore, a nawet podejrzane o chorobę zakonne. W tém położeniu znalazła się także nasza kronikarka.

„Ja siostra Franciszka (która to opistuje) po frybrze i ciężki gorączce nadzieję wzięnam życia, bo mi się Róża okrótna od stopy aż za kolano wydała, a zatem wszystko ciało zostało zdrowe; jednak osądzono mnie za zarażoną i wyłączyli od innych sióstr. I toć to na nas nacięższa była, że sobie trzcha było służyć, chociaż się człowiek ruszyć nie mógł, jako ią ruszyćem nogą nie mogła, ręką ią przenosiłam, przy tém gorączka a musiałam się z posłania wynosić: I tak każda bez ratonku ludzkiego: przyniesiono co do pośluku, to puc z budy bierz sobie, och ciężko to“ (str. 146).

Jak powszechną musiała być pomiędzy więszą ludnością trwoga przed zapowietrzonemi i jak trudno było w tej klasie społecznej znaleźć ludzi do pielegnowania chorych, świadczy następujący ustęp:

„Siedm dni leżała — mówi autorka o jednej ze swoich towarzyszek — nadzwyczaj tej zarazie, raz ią to, drugi raz co innego bolało, y prawie wszystkie członki owa męka obchodziła, przytem ekliwość niezmierna; a kiedy to w takić niewygodzie, bo iakosz wygodzie, nieprzystępują, tu chory nie może się ruszyć, a trzeba sobie wszystko uczynić, w onę przykry budzie zostawać oddalona od wszystkich. Przyniesą co do pośluku, to trzeba wynieść naczynko, y odstąpić daleko, na które włożono ostrożnie i znowu chory taczający się, puść po to, y zawsze zimno musiało być, bo daleko nosić i zimno było i na zimną miseczkę złożono... Strzeżono nas, aby jedna do drugi nie przystępowała, tylko sługa pański, jeden na to oddany, to zdalcka jako mógł, pewnie nie jako należało posłużyć“ (str. 149).

Ponieważ lud wiejski uciekał przed zapowietrzonemi i tylko gwałtem dał się używać do jakdójkolwiek przy nich posługi, nie więc dziwnego, że ciała zmarłych na zarazę tem większym były dla niego postrachem. Jak sobie w takim razie radziły słabe kobiety, dowiadujemy się z następujących ustępów kroniki.

„Dosyć było ciężkości s pozbycia koehany siostry a jeszcze przybyło, że iey nie miał kto pochować, ani tesz rydła było. bo się nas wszysey jako ognia bali, y tak musiały siostry własnemi rękoma to odprawić, rąbiąc toporkiem ziemię w ogrodzie włoskim gdzie umarła, a miszczką wyrzucaly, y tak z wielką praeą tegosz dnia pochowały“ (str. 139).

„I téj duszy musiały ręce zakonne służyć do sehowania iey, bo niemogliśmy znaliśe człowieka takiego, żeby nas w takim bolesnym razie poratował.“

... „Była dobrze wiadoma takiego pogrzebu, który była, zdziergnawszy za nogę powróz zierdzą tak wlekli, aż w dół tak wpadło ciało, na eo i zgroza pomyślic. Omdliwaliśmy czyniąc to“ (str. 140).

Wiadomość o powyższej kronice, tudzież umożliwienie zużytkowania jój zawdzięczam koledze Dr. Kaczorowskiemu i JW. Księdzu Kanonikowi Maryańskiemu.

